

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.



Naczelnik Państwa Józef Piłsudski nadaje miastu Lwowa order „Virtuti Militari“ w 1920 r. (wedle obrazu art. mal. prof. Batowskiego).

MOŁOTKÓW 1914 r.

(Z pamiętnika Wł. Matkowskiego, zasłużonego pracownika w ruchu niepodległościowym).

29 października. Po bardzo źle spędzonej nocy, bo oficerowie obok prawie nie spali, ślęcząc nad mapami, wstałem znużony. Ruch w domu rozpoczął się już około 5-ciej nad ranem. Żołnierze kompanji Fabrycego gotowali się do wymarszu, co nastąpiło szybko, bo wszyscy byli całą noc w pogotowiu. O 4-tej odmaszerowano na stanowiska do wsi sąsiedniej *Babeze*. Cisza, jak gdyby przed burzą, zakryła wieś, spowitą w mrokach jesiennej mgły. Około 8-mej zaczęło się niebo wyjaśniać i pokazało się słońce. Wyszedłem na drogę, bo przecucie okropności nie dało mi na miejscu usiedzieć: każdy nerw w ciele drgał na inną nutę. Kolo karczmy spokalem wójta i księdza, których prosiłem, by ostrzegli ludność, iż zanosi się na bitwę u nas... Niech nikt nie wychodzi z domu, a w razie kanonady ułóż się w chacie na ziemi. Ludzie pośpiesnie układali mostek i ustawiali furmanki dla rannych. Polecilem zabrać furmanki z placu obok drogi i ukryć je za domami. Ledwie te rady wypowiedział, kiedy nagle zaryczały dwie armaty od strony Nadwórny i ponad nami przeleciały, syząc i jęcząc, dwa szrapnele, które niosły śmiertelne pozdrowienie Moskalam. We wsi zakotłowało — każdy gnał do swego domu, by się ukryć przed nadciągającą burzą. Krzyki i nawoływania rozległy się po całej wsi, a wszystko zlewało się w jeden ton: Moskale już są we wsi! Tak jednak nie było, bo zewsząd zaczęły się — jak z pod ziemi — wysuwać szeregi tyraljerskie naszych Legionów. Gruchot karabinowych strzałów zwolna zaczął się wzmagać w miarę, jak szeregi posuwać się zaczęły ku Markowej i głównej pozycji Moskali w Syktaeh.

Przed południem byliśmy dobrej myśli i tak pewni zwycięstwa naszych, że nam ta kanonada, która się na dobre rozpętała, robiła pewnego rodzaju przyjemność. Przez cały kilkunastu morgowy ogród w około domu leżały rezerwy w szeregach. Wśród tego rumoru wpadłem do domu i wszystką działwę wraz z kobietami i dziećmi ze wsi ulokowałem w piwnicach. Strzelanina karabinowa stawała się coraz gęstsza i coraz to nowe rezerwy posuwały się naprzód, tuż koło domu ku *Babezu*, *Markowej* i *Staruni*. Tak trwało do godz. 11-ej, kiedy legjoniści dotarli do ostatnich chałup we wsi i podsunęli się pod Sykty i drogą ku *Solotwinie* do *habuskiej* granicy. Na całej linii strzelanina wzmagała się coraz bardziej i widać było uganiane bez jeźdźców konie po polach na *Grabnikach*. Właśnie w tym czasie podsunęły się ostatnie sze-

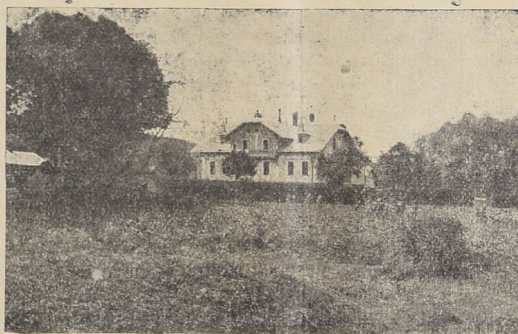
regi naszych rezerw pod dom i legły ukryte poza płotami sąsiednich chał. Było to wzmocnienie dla lewego skrzydła, na które nacierało w wielkiej sile skrzydło rosyjskie od strony *Babczego*.

Krótko przed samem południem zaczęli się nasi zwolna wycofywać pod gęstym ogniem szrapneli i karabinów moskiewnych, które nieustannie klekotały w Syktach. Wśród tej piekielnej kanonady, która wryła się w pamięć na całe życie, zaczęły po wsi plonąć sporadycznie chaty wieśniacze, zapalone granatami moskiewskimi. Co żyło w domu, oraz kobiety z dziećmi z sąsiedztwa — skryło się w piwnicy i wszyscy wsłuchiwalisny się w grzechot kul, które łomotały po ścianach i dachu domu. Kilka kul przeszło dwie ściany w kuchni oraz w pokojach na piętrze. Tymczasem ogień karabinowy zbliżał się i stawał coraz gęstszy. Kilka razy przesuwałem się na klęczkach po korytarzu i pokojach, by zbadać, co się dzieje na dworze. Legjoniści skupiali się koło domów i poza naturalnymi ostonami, ostrzeliwując z ukrycia linię rosyjską, która zatrzymała się na jakie 500 kroków przed domem. Sadem przejeżdżał właśnie major *Roja* wśród gradu kul i komenderował: Stać! — nie cofać się! Strzelił nawet dla postrachu dwa razy z rewolweru i pogalopował drogą ku karczmic, gdzie najgęściej pękały szrapnele po kilka naraz. Kiedym zbliżył się do werendy — padł właśnie legjonista, trafiony kulą w nogę...

Pomogłem mu wejść na korytarz, gdzie scyzorykiem przeciąłem cholewki, a panny opatrzyły mu szybko ranę. Kuli w nodze nie było, wyprowadziłem więc legjonistę, gdzie go towarzysze wzięli pod ramiona. Jemu bowiem i nam groziła niechybna śmierć, gdyby był pozostał w domu. Ranny powlókł się dalej o własnych siłach; czy ocalał — nie wiem. Do godziny 4-tej szeregi naszych trzymały się uporczywie koło dworu, ale pomoc żadna nie nadchodziła, a natomiast Moskale, którzy nacierali z flanki od *Hwozda*, zaczęli zagrażać tyłom naszych. Szeregi się przelamały i cofanie zaczęło szybciej — ale ciągle w porządku — postępować. W gnieniu oka zwalili Moskale parkany obok domu, a w tyle za nimi już plonęły chaty wieśniacze; wpadli na korytarz trzej żołnierze piechoty. Zanim zdaliśmy się zorientować, którzy żołdacy wchodzą — wszystkie rzeczy z dwóch pokoi leżały już na podłodze, a wszystkie szafy były pootwierane i 80 kor. zabranych. Zabrali obrączki i pierścionki pań, które się u nas schroniły, i zażądali srebra, złota, zegarków i pie-

niędzy. Tego wszystkiego nie było — podane srebro stołowe odrzucili i wyszli biegiem, by stanąć w linii bojowej. Tymczasem u drugiego wejścia do kuchni — dwaj inni żołnierze nagromadzili w przedsionku słomę i podpalili ją. Kobiety i dziatwa zaczęły wyskakiwać przez okno — otworzyłem więc drzwi i prosiłem, by pozwolili wyjść dzieciom. Obaj w odpowiedzi skierowali do mnie bagnety i kazali zamykać drzwi, bo natychmiast strzelają... W jednej chwili gęsty dym zappełnił korytarz i kuchnię, a płomienie zaczęły lizać sufity. Mimo skrajnej rozpaczki, nie straciłem zimnej krwi, lecz z miejsca zabrałem się do ratowania. Wybiłem dwie szyby i zacząłem lać wodę na dach werandy i na podłogę, po której woda po pod drzwi spływała na płonąca słomę. Po kilku minutach żołnierze odstepili do linii tyraljerskiej, tak, iż po kwadransie mogłem ogień zupełnie ugasić. Oszalowanie zdołało przepalić się tylko do połowy. Jeszcześmy nie ochłonęli z okropnych wrażeń w domu przebytych, kiedy przez okno zobaczyłem ogromne słupy dymu, wydobywające się ze spodu stodół, wypełnionej krescencją po szczyt dachu. W około stodół i stajni, która także wnet płonąca zaczęła, snuło się mnóstwo piechoty, która uga-

niała od budynku do budynku, podpalając dachy. W kilku minutach była wieś tak spowita dymami, że z trudem można było drogą przechodzić. Szczęściem służba ukryta była w suchej studni, na której stał rosyjski karabin maszynowy i skoro się moskale posunęli naprzód — wyszła z ukrycia i wypuściła bydło, które cały dzień nie jadło ani piło — z płonącej już stajni — na pole. Pięć sztuk porwali moskale ze sobą, a dwie spłonęły w stajni, bo już były zabite kulami, które przeszły przez ścianę. Koń, którego nie zdołano spuścić — urwał się sam od żłobu, ale już mocno osmalony ogniem, tak, że mięso wyzierało z popekanej skóry. Tymczasem pożoga opromieniła łunami całą okolicę, tak, że widno było jak we dnie. Przez całą noc szły oddziały wojsk moskiewskich i kilka armat. Naliczyć zdołałem 12, a sanitariusze uprzątywali rannych i grzebali zabitych, tak, że we wsi nikt i później nie wiedział, ilu ich u nas padło. Wyczerpani przejściami, apatyczni i zrezygnowani, ułożyliśmy się do koniecznego snu, tej pamiętnej na całe życie nocy. Łuny płonących wciąż domów już nie robiły na nas wrażenia, po doznanych wstrząśnieniach...



Dmerek mołotkowski.

Dworowi Mołotkowskiemu

Legjoniści Polscy 5-go pułku 26—27—29 października 1914. — 16 i 21 lutego 1915.

Wszystkie się pola zazieleniły,
Śnieg potokami z gór spływa,
Od mołotkowskiej świeżej mogiły
Jakiś się tętent odzywa.

I jakiś dziwny strach ludzi bierze,
Trwożnie słuchają zdziwieni.
Czy to z mogiły wstali żołnierze,
Co legli przeszłej jesieni.

I słychać tętent, słychać na moście,
Tam od Potoków, od boru,
Pewnie tu jadą z daleka goście
Do Mołotkowa, do dworu.

Jadą, i chociaż znużeni drogą,
Jakże wesołe ich miny,
Bo się tu zawsze spodziewać mogą
Prawdziwie polskiej gościny.

Tu nie szczędzono, trza wspomnieć o tem,
Przyjęcia, dachu ni chleba,
Tego nie można zapłacić złotem,
Piosenką zapłacić trzeba.

Na Mołotkowa tem polu długiem
Wysoko zboże powsechodzi,
Bo jest zorane granatów pługiem
A żyzne krwią polskiej młodzi.

Bogusław Szul
podpor.

Pieśń ułożona i odśpiewana przez młodziutkiego podpor. - poetę B. Szulę-Skuldikreńską przy pożegnaniu gościnnych progów dworku w lutym 1915 r. śp. Szul — jako major padł 27 maja 1920 nad Bohem, pod Czertwertynówką. Zwłoki złożono w Tulczyźnie.

Pieśń ta, przepisana z rękopisu śp. mjr. Szulę, jest ze zbiorów p. Wład. Matkowskiego, którego cenne zapiski oddane są nam do druku.

Dotychczasowe przedruki tej pieśni w różnych pismach zawierają dużo niedokładności i poniekąd zniekształcają oryginał.

Józef Białynia Cholodecki.

Niedosze granice

Zachodnio-Ukraińskiej Republiki i jej militarne siły.

Leży przed nami dokument „Reskrypt Nr. 5” z daty 15 listopada 1918 r., z napisem „Zachodnio-Ukraińska Narodna Republika — Derżawnyj Sekretariat Wijskowych Spraw”, podpisany przez „otamana” Witowskiego, a pouczający czytelnika o rozmiarach granic, pożądaných przez Rusinów dla swoich „dzierzaw” na terytorjum Wschodniej Galicji i przyległej części Bukowiny, tudzież o podziale Zachodnio-Ukraińskiej Rzeczypospolitej na wojskowe okręgi. Nowo powstać mające państwo miało obejmować obszar, począwszy od granicy Sanu aż po Czerniowce i dzielić się na trzy „obłascie”, te zaś na 12 okręgów wojskowych i 59 starostw. Do „obłasci” lwowskiej miały należeć okręgi: Lwów, Przemyśl, Rawa Ruska i Sambor; do „obłasci” Stanisławowskiej okręgi: Stanisławów, Stryj, Kołomyja i Czerniowce; do „obłasci” Tarnopolskiej zaś okręgi: Tarnopol, Złoczów, Czortków i Brzeżany.

W skład okręgu Lwowskiego wchodziły miały starostwa: Gródek Jagielloński, Lwów, Rudki, Sokal i Żółkiew; w skład okręgu Przemyńskiego, starostwa: Brzozów (część zamieszkała przez Rusinów), Dobromil, Lisko, Mościska, Przemyśl i Sanok; w skład okręgu Rawskiego — starostwa: Cieszanów, Jarosław, Jaworów i Rawa Ruska; w skład okręgu Samborskiego — starostwa: Drohobycz, Sambor, Stary Sambor i Turka; w skład okręgu Stanisławowskiego — starostwa: Bohorodczany, Horodenka, Nadwórna, Stanisławów i Tlumacz; w skład okręgu Stryjskiego — starostwa: Dolina, Katusz, Skole, Stryj i Żydaczów; w skład okręgu Kołomyjskiego — starostwa: Kołomyja, Kosów, Peczenizyn i Śniatyn; w skład okręgu Czer-

niowieckiego — starostwa: Czerniowce, Kocmań, Seret, Storozyniec, Waszkowce, Wyżnica nad Czereposzem i Zastawna; w skład okręgu Tarnopolskiego — starostwa: Skala, Tarnopol, Trembowla i Zbaraż; w skład okręgu Złoczowskiego — starostwa: Brody, Kamionka Strumiłowa, Radziechów, Zborów i Złoczów; w skład okręgu Czortkowskiego — starostwa: Borszczów, Buczacz, Czortków, Kopyczyńce i Zaleszczyki; w skład okręgu Brzeżańskiego zaś — starostwa: Bóbrka, Brzeżany, Podhajce, Przemyślany i Rohatyn.

Na czeł każdego okręgu wojskowego miał stać okręgowy komendant.

Przypatrzmy się teraz, jaką militarną siłą mogliby rozporządzać Rusini Zachodniej Ukrainy. Do oceny tego stanu rzeczy mogą posłużyć nam szematyzmy wojskowe Austro-Węgier z ostatnich lat przedwojennych, wykazujące, ile pułków różnego rodzaju broni rekrutowało się na obszarach wymienionych starostw. Otóż, niezawisłe od drobnych oddziałów, dostarczała Wschodnia Galicja łącznie z skrawkiem Bukowiny, do formacji wojsk linjowych 14 pułków piechoty, a to: 9 Stryj, 10 Przemyśl, 15 Tarnopol, 24 Kołomyja, 30 Lwów, 41 Czerniowce, 45 Sanok, 55 Brzeżany, 58 Stanisławów, 77 Sambor, 80 Złoczów, 89 Gródek Jagielloński, 90 Jarosław, 95 Czortków, ponadto dwa bataljony strzelców polnych: 4 Przemyśl, 30 Lwów, jeden pułk dragonów: 9 Kołomyja, sześć pułków ułanów: 5 Gródek Jagielloński, 4 Lwów, 6 Przemyśl, 7 Brzeżany, 8 Stanisławów, 13 Złoczów, dziewięć różnych pułków artylerji, dwa bataljony pionierów i dwa dywizjony trenu.

Do składu wojsk obrony krajowej wchodziło

z Wschodniej Galicji ośm pułków piechoty, a to: 18 Przemyśl, 19 Lwów, 20 Stanisławów, 22 Czerńowiec, 33 Stryj, 34 Jarosław, 35 Złoczów i 36 Kołomyja, jeden pułk ułanów 1 Lwów i jeden pułk artylerji 43 Lwów.

Oto kompleks formacji wojskowych, jakimi mogłaby była dysponować w przyszłości „Zachodnia Ukraina”.

Najazd Rusinów z lat 1918 i 1919 był drugim z rzędu niudałym wysiłkiem w ciągu lat pięciu, odłączenia i wydarcia ze składu odwiecznych posiadłości Polski obszaru Wschodniej Małopolski. Wszakże już w czasie inwazji wojsk rosyjskich w latach 1914—1915 car Mikołaj II, pewnym, iż ówczesna Wschodnia Galicja należy stałe do składu jego dzierżaw, to też przemawiając w dniu 22 kwietnia 1915 do zebranego ludu z balkonu pałacu Namiestnika we Lwowie, zawołał z zapalem: „Niech będzie jedna, potężna, nierozdzielna Ruś, Ura!”

Aspiracje Rusinów zwróciły się w latach 1918—1919 także ku posiadłościom Królestwa Rumunii, ku tym posiadłościom, na których obszarach rozgrywały się liczne wypadki, związane z dziejami Rzeczypospolitej Polskiej. Wszakże falista płaszczyna u stóp wzgórz Sniatyna opiera się z jednej strony o brzegi Dniestru, którego ciche, a głębokie nurty przenosiły tyle razy chciwych łupów Tatarów na bujne niwy Podola, z drugiej strony o stoki Karpat, tworzące dło krajobrazu. Na tej to płaszczynie rozpoczynały się harce wojenne zastępów Polski z Turkami. Tędy wracały szeregi z tryumfem lub ze zbolalem sercem w domowe progi. Płaszczyną tą przeciągał król Olbracht, dążąc pod Suczawę i przez dni siedm koczował obok Kocmania; płaszczyną tą szedł ipokorzony z powrotem. Tutaj u wsi Szepenie opierało się długo 600 dzielnych Mazurów księcia Kontada, po powrocie Olbrachta, pięćkroć razy silniejszemu oddziałowi wołoskiego wojewody Stefana i poległo chwalebnie z orężem w ręku. Tą drogą wiódł sze-

regi siedmiogrodzkie Rakoczy przeciw Janowi Kazimierzowi i na tych błoniach gromadził swoje zastępy. Tutaj, obok Mahaly, trzymali Turcy i Tatarzy przez dni 14 w oblężeniu zastępy hetmana Stanisława Jabłonowskiego. Ochroniły je od rozbicia i niewoli obrotność i zdolność generała Marcina Kątskiego. Tędy przechodzili niejednokrotnie wyćwiczone w boju z niewiernymi rotę króla Sobieskiego, tutaj, pod Rarańczą pokonały w r. 1739 wojska moskiewskie, tureckie zastępy i tą drogą powracały po zawartym pokoju.

Tutaj, pod Rarańczą, spełniła też w końcu, w czasie wielkiej wojny światowej — wiekopomny Czyn młódz Legjonów z płonącem miłością Ojczyzny sercem, a na ustach ze słowami:

„Nie wielu nas tu orężnej braci,
Ale nam serca nie złęknie wróg,
Tylko wątpienie narody traci,
A w nas jest wiara, a przy nas Bóg!”

Wobec zamiaru Rusinów anektowania na rzecz Zachodniej Ukrainy także i części Bukowiny wraz z Czerniowcami, nie dziw, iż gdy w pierwszej połowie roku 1919 obsadziły chwilowo wojska rumuńskie w porozumieniu z Polską Pokucie, a zwłaszcza miejscowości Delatyn, Gwoździec, Horodenkę, Jabłonów, Kołomyję, Korczów, Kossów, Kuty, Mikuliczyn, Obertyn, Peczenizyn, Pistryń, Sniatyn, Turkę koło Kołomyi, Worochtę, Zablótów i Żalucze, nie okazały wcale przychylności dla ruskiej ludności.

Obecnie nie uznaje Rosja samoistnej Ukrainy, nawet nadnieprskiej, i tępi wszelkie separatystyczne dążności sowieckiej republiki ukraińskiej, Rumuni asymilują mniejszości narodowe, a jedynie Polska obdarza Rusinów obficie swobodą i przywilejami. Czyż możliwem byłoby wobec tego stanu rzeczy dla Rusinów stworzenie w drodze orężnej i stałe utrzymanie samoistnego państewka Zachodniej Ukrainy? Czyż nie zginęłoby ono rychle w skłudzie rozległych dzielnic sowieców?

Jak Leguny chciały upić kapelana Kosmę.

II.

Kiedym patrzył na nowe transporty butelek, które znosili ordynansi na rozkaz Sulistrowskiego, który bankietem dowodził z taką samą werwą, jak żołnierzami w polu, rozpacz mnie ogarniała, bom się obawiał, by moje fortele nie wylazły na wierzach, jak oliwa, bo wtedy porządna byłaby kłapa!

Żdaje się, że na toaście: „Niech żyje I Brygada!” zakończyła się serja toastów oficjalnych.

I ten kielich powędrował do moich sprzymierzeńców. Teraz przyszedł czas na inicjatywę prywatną biesiadników. Zawzięcie szukano, komu jeszcze warto krzyknąć „Niech żyje!” — by przy tej okazji wychylił jeszcze jeden kielich.

Wszyscy byli już dobrze podochoceni. Sulistrowski zaczął łązić po moim „odcinku”. Tym po prawej stronie coś szepnął do ucha.

— Masz rację! masz rację! — słyszę radosne

okrzyki. Zdwoilem czujność. Przeczułem mi mówilo, że to o mnie mowa. Tak też i w rzeczywistości było. Zaczynają do mnie pić:

— Księżę kapelanie, niech żyją kapucyni!

— Niech żyją! niech żyją — wrzeszczą ze wszystkich stron, chociaż nie wiedzą, o kim mowa. Wytrąbili kielichy. Ja swój przetransportowałem do orkiestry. Trzeba nieszczęścia, że i muzykanci też byli już pod dobrą datą. Na domiar złego te zakazane pyski zaczynają się klócić między sobą o ten głupi kieliszek.

— Widzisz, jaki morowiec! sam chce kapelańskie kieliszki wyszczać!

— Mordę takiemu skuć na kwaśne jabłko!

— To mnie się teraz należy!

— Wychlałeś już pewnie trzy kapelańskie, to ci wystarczy!

— Nie siep się! nie siep się!

Spojrzałem jak tylko mogłem najgroźniej w ich stronę. Nie pomaga. Wstają od stołu i jakby nigdy nic — podchodzą do orkiestry.

— Co tam się stało?

— To jest świnia, księżę kapelanie, sam tylko chciałby chlać.

Widzę, że to dla mnie nie bardzo bezpiecznie zapuszczać się z nimi w pogawędkę, bo prawie wszyscy są pijani, więc tylko im mówię:

— Ja was godzić nie będę — sami to zróbcie, ale na miłość Boską nie nazywajcie kieliszków kapelańskimi, bo jak oni się dowiedzą, że wy za mnie pijecie, ja przepadłem, a wy ani jednego kieliszka więcej nie zobaczycie!

Poskutkowało. Wróciłem na swoje miejsce. Byłem bardzo wyczerpany tą walką i strasznie smutny. Wsparłem głowę na dłoniach i myślę... Oj! nie było wesołe to moje myślenie...

Przerwał.

Zapanowało na kilka chwil milczenie. Z pewnością wtedy gorycz zalala kapelańskie serce i takie pewnie robiło ono wymówki legunom:

— To wy tak ze mną postępujecie? Jam was ukochał, bo wiedziałem, że całopalną ofiarę z siebie dla ojczyzny składacie, jam do was przyszedł, ja, co się Bogu całkowicie poświęcił, przyszedłem do was, bo rozumię, co to znaczy poświęcenie, przyszedłem do was, bo ukochałem dusze wasze, które do tak wielkiej ofiary były zdolne, przyszedłem do was, by dusze wasze od wiecznej zagłady ratować, a wy mnie chcecie upić, żeby móc później pokpiwać sobie z pijanego kapelana? — I za co? za co? Czy mnie nie gryzą wszy tak jak i was gryzą? Czy dla mnie obce są wasze bóle, wasze cierpienia i wasze tęsknoty? Czy mnie się serce nie krwawi, kiedy wspomnę, że jesteśmy tacy samotni, tacy bezdomni włóczędzy? Czyż ja nie jestem też legunem? Za co, więc za co chcecie

mnie tak poniżyć? Prawda: wście opuścili wszystko: dom, rodzinę, machnęliście ręką na całą waszą przyszłość, bo chcecie waleczyć, żyć i umierać dla Ojczyzny! A ja, czym nie opuścił domu i rodziny? Dwam domy opuścił! Dwiem rodzinom porzucił! Strzecha rodzicielska i dom zakonny przestały już być dla mnie schronieniem. Rodzinę moją i familiem zakonną porzucił dla was... Z sercem braterską przepelnionem miłością przyszedłem, a wy mnie poniżyć, upić chcecie i zmusiliście do tego, bym figlami, lgarstwem wykrecal się z waszych sidel... Czym ja na to zasłużył?... Boże!.. Boże!..

O! gdyby leguńskie serca te wymówki usłyszały, taką wtedy otrzymałyby odpowiedź, księżę kapelanie:

— Że nas sądzisz, Ojcie Kosmo! Wiemy dobrze, żeś Ty jest nasz! Wiemy dobrze, że i Ciebie gryzą wszy, wiemy o tem, że się wstydzisz przy nas rozbiierać, by urządzić na te baranki polowanie, wiemy, żeś chłop morowy, że nasze bóle i cierpienia są twojami, że nasze tęsknoty twe serce żrą także, wiemy to wszystko, ale i jeszcze wiemy coś więcej: dotąd w murach klasztornych byłeś zamknięty, twarde wodłeś życie i cierpienie, cierpienia te jednak łatwiej ci było znosić, boś był w gronie braci, którzy, żyjąc w imię tego samego ideału, nieśli tobie pomoc. Podtrzymywaliście się wzajemnie. A tu? Jak kolek od płota samotny jesteś... A tu? Ty cierpisz z nami... Więc nasze leguńskie serca — tak po prostemu se myślą: cierpij z nami, to i wódki się z nami napij, lżej ci będzie, księżę kapelanie!... A co do pokpiwania, broń nas Boże! Toć sam wiesz: nie jesteśmy Judaszami!..

Kapelan westchnął cicho i zaczął:

— Siedziałem więc sobie tak z głową wspartą na dłoniach — ciągnie kapelan przerwaną opowieść. — wtem trąca mnie ktoś w lewy łokieć. Patrzę: Nałęcz już dość dobrze ululany.

— Czego? — spytałem opryskliwie.

— To kaaaapeeeelan nie ppppjjaaaany?

— Nie!

— A mnie się już w głoooo — ok!!!! — wie kręci... (na chwilę zamilkł, jakby sobie coś przypomniał) — Ho! ho! — ciągnie dalej — tęęęgaaa ok!!!! maaa kapelan głowęęęęę — eh!!!! Napijmyyyy — yk!! się.

— Słuchajcie, poruczniku, chcę wam coś powiedzieć.

— ?

— Dajcie słowo, że nie powiecie nikomu.

— Slowoooo — oh!!!!

— Ja nie jestem pijany, bo wszystko za mnie orkiestra wypila. (Widocznie O. Kosma nie mógł już dłużej znieść tych forteli i kłamstw — dlatego

też czuł potrzebę przyznania się przed kimś do tej „winy“). Należć spojrzeć na mnie niedowierzająco. Chwil kilka myślał, wreszcie rzekł z całą stanowczością, na jaką się wtedy mógł zdobyć:

— Ja to muszeeeee — ek!!!! powiedzieć kolegom.

Pociemniało mi w oczach. Żałowałem serdecznie swej szcerości. Byłem bezradny. Wtem, nie wiem skąd mi się to wzięło, bo bez najmniejszego namysłu krzyknąłem:

— Jak powiesz, zamienię cię w żabę i byk cię później rozdyma!

Skulił się na krześle. Spojrzył na mnie z zadowoloną jakąś urwogą w oczach, spokorniał i zamilkł. Widocznie pijane myśli mówiły mu: „Kto go tam wie! Jest księdzem — może on i potrafi zaczarować“... To mnie ocaliło. Ale to jeszcze nie koniec! Spojrzałem na zegarek: za 15 dwunasta. W tym samym czasie podchodzi do mnie grupka oficerów i prosi, czybym się z nimi nie mógł napić. Zgoda pozornie, bo de facto postanowiłem odwlekać rozpoczęcie „partykularnego pijaństwa“ do północy, by później stanowczo odmówić, wymawiając się tem, że księdzu wolno tylko do północy jeść i pić. Oni tymczasem odeszli dalek, zbierają niedopite butelki wina, piwa, wódki, likierów, ko-

niaku i zlewają to wszystko dla mnie do jednej. Biegnę do nich.

— To wy tak robicie! — mówię z udaniem oburzeniem. — Ja z wami do tej pory się bawię, a wy mnie w tak zdradziecki sposób upić chcecie? To świnstwo! Już dochodzi dwunasta, muszę opuścić salę. Dobranoc!

Wychodzę swobodnie, a oni wszyscy, jak sztabak, złapany na gorącym uczynku, zaczerwienili się ze wstydu po uszy i bez słowa protestu pozwolili mi odejść. Ot, i bitwę wygrałem!

— Udało się wyśmienicie. Widzę, że z Ojca jest wielki figlarz. Teraz proszę mi opowiedzieć, jak to po raz drugi chcieli Ojca upić.

— Drugi raz... — powtórzył kapelan — poczekajcie, niech sobie trochę przypomnę... Aha! już wiem... było to pod...

— — — — —
Ale mi się zmachał szpetnie! Muszę odpocząć. Zresztą, kiedy się pisać lepiej nauczę, dokończę kapelańską opowieść, boć to, co dotąd napisałem jest fuszerką, nieprawdą?

Ale, coż robić? Nie każdy się nazywa Kornel Makuszyński.

Z. A. K.

JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Miasto Ufa było podówczas punktem zbórnym wszystkich kontrbolszewickich wojsk, a mianowicie: armji syberyjskiej narodowej, noszącej biało-zielone oznaki, Czechów, oraz części wojsk polskich, i czyniło wrażenie olbrzymiego obozu wojennego — różnorodnych rodzajów broni. Służbę na stacji kolejowej, przepelnionej po brzegi eszelonami, pełniły oddziały polskie.

Długo w Ufie nie pozostawaliśmy, lecz po przyłączeniu naszych dwóch bataljonów do reszty stacjonowanego w Ufie 1-go pułku piechoty, wraz z oddziałem naszej konnicy wyruszyliśmy niezwłocznie koleją w stronę opuszczonej niedawno Bogulmy, celem niesienia pomocy zmagającym się z bolszewikami armji narodowej i czeskiej.

Przybywszy w kilka dni później na miejsce, zajęliśmy niezwłocznie jeden odcinek pod wsią Nikołajewka, tuż przy linii kolejowej, który należał do ogólnego frontu dowodzonego przez rosyjskiego generała Kappela.

Dowódcą naszego oddziału był pułk. Rumsza, który wyruszył z nami z Ufy.

Niezwłocznie po naszym przybyciu, natarłszy intensywnie na guieżdżących się we wsi bolszewików, po dwugodzinnej zaciętej walce zdolaliśmy ich rozbić, biorąc jeńców i obfity łup wojenny oraz opanowując wieś.

Wzięci do niewoli jeńcy bolszewicy w ilości 40 ludzi, składali się przeważnie z byłych oficerów armji carskiej, których też oddaliśmy w ręce oddziałów armji gen. Kappela.

Na dzień następny zostaliśmy z zajętej przez nas wsi, a potem obsadzonej przez wojska armji narodowej, przerwuceni na inny odcinek, a tego rodzaju procedura trwała bezustannie, tj. rzucono nami na pomoc słabnących i wycieńczonych ustawicznymi bojami wojsk białej armji.

Po kilkudniowych, stale o sukcesywnych wynikach utarczkach z bolszewikami, przybyliśmy z końcem października pod wieś Bajraki, stanowiącą również poważny punkt, jako dostęp do linii kolei Bagulmińskiej.

Na czele naszej piechoty o godzinie 10-tej rano przybył na wskazane miejsce pułk. Rumsza,

my zaś z artylerją dotarliśmy w godzinę później. We wsi panowała niezmiernie zamknięta cisza, zwastująca, jak zwykle w takich wypadkach, rychłą burzą.

Na prawem naszym skrzydle w oddaleniu 4-ch wiorst stały dzielne oddziały kozackie, a gęsty trzask karabinów, dochodzący nas z tej strony, oznajmiał o zacieklej bitwie staczonej przez te oddziały.

W początku po naszym przybyciu, ukolysani ciszą, myśleliśmy, że będziemy mieli możność jakiegoś wycieczki, lecz niestety już po pół godziny po przeciwnej stronie wsi wywiązała się piekielna strzelanina, zaś po następnym kwadransie bolszewicy podkraśli się pod osłoną otaczających wieś lasów, byli we wsi.

W momencie oka pomiędzy naszymi a bolszewikami wywiązała się mordercza bitwa. Bolszewicy w przeważającej sile, operowali ponadto kulomiotami i artylerją i w pierwszym już impetie swego nieoczekiwanego ataku opanowali niemal całą wieś.

Na dobitkę złego, stojący na lewem naszym skrzydle rosyjsko-czeski batalion, już z samego początku natarcia nieprzyjaciela, poszedł w rozsypkę, wróg zaś, przelamawszy front, z drugiej strony wdarł się do wsi, a natknąwszy się na naszą artylerję, przyspuścił niezwłocznie śmiały atak.

Zamieszanie wśród naszych było nie do opisania. Natarcie bolszewików było tak śmiałe i niespodziewane, że w pierwszej chwili wszyscy — nie wyłączając Rumszy — potracili głowy.

Walcząc przeważnie na białą broń, raz atakowaliśmy, drugi raz odstępując. Wieś w przeciągu krótkiego czasu przechodziła z rąk do rąk.

Widząc co się święci, część naszych rzuciła się samoczynnie w stronę naszej artylerji, by odbić ją bolszewikom, inne zaś watahy bolszewickie, korzystając z ogólnego zamieszania, ruszyły w stronę naszego taboru i po krótkiej walce zajęły nam konie.

Pułk Rumsza, który z samego początku bitwy wycofał się gdzieś, widząc, że bolszewicy zdobyli tabor — nie czekał dłużej i oddalił się, pozostawiając nas na łasce losu.

Akcja nasza skierowana ku odbiciu artylerji, została uwieńczona pomyślnym skutkiem, co dało nam możność skoncentrowania się i wyruszenia przeciwko nieprzyjacielowi, który zajął nam obóz. Pokrzepieni na duchu powodzeniem, ruszyliśmy z brawurą do ataku w stronę naszego obozu i po zacieklej półgodzinnej bitwie, całkowicie zdołaliśmy opanować sytuację.

Chwilowa nasza klęska zaczęła przybierać pomyślny obrót. Kilku naszych, po odbiciu koni, zdołało odszukać Rumszę i po dostarczeniu mu ko-

nia, zdołało go nakłonić do powrotu na teren walki i kierowania dalszą akcją.

Pomimo, że nasi bili się dzielnie i z uporem, dokazując na każdym kroku cudów waleczności, przeważająca kilkakrotnie siła bolszewicka zmusiła nas w końcu po trzygodzinnej bezustannej walce przeważnie na białą broń — do odwrotu.

Cofając się w największym porządku, wstrzymywaliśmy ogniem karabinowym natarczywie nacierające na nas bandy czerwonych, bacząc też pilnie na zabezpieczenie flanków i tyłu.

Straty nasze w ludziach w stosunku do bolszewickich były znikome. Pojmami jeńcy zeznali, że sztab bolszewicki, dowiedziawszy się, że ma do czynienia z „polskim legionem”, wysłał na nas najbardziej doborowe wojska, jak pułk „krasných orłów”, pułk piotrogrodzki oraz pułk mazowiecki, złożony wyłącznie z Polaków, którzy też nie bacząc, że mają przed sobą rodaków, a może właśnie dlatego — najzacieklej nas atakowali.

Pozostawiliśmy bolszewików poza sobą, dotarliśmy nad wieczorem do pewnej wsi tatarskiej, oddalonej od Bojarków o 6 wiorst.

We wsiach i osadach tatarskich czuliśmy się bezpiecznie i swobodnie, gdyż tatarzy, będąc podówczas bez wyjątku skrajnymi przeciwnikami bolszewików, sympatyzowali z armją narodową, nas zaś za naszą waleczność wprost uwielbiali.

Po trzech dniach, poświęconych wycieczkowi, otrzymaliśmy wiadomość, że oddziały armji narodowej, nie mogąc już dłużej wytrzymać bezustannych ataków czerwonych, proszą o natychmiastową pomoc.

Czyniąc żadość prośbie, na czwarty dzień, zmobilizowawszy podwoje, o godzinie 10-ej rano wyruszyliśmy w kierunku wsi Aleksandrowka i Znamienowka, tj. do miejsca, skąd nas dochodziły rozpaczliwe wołania o pomoc.

Po przybyciu na miejsce, mając do dyspozycji artylerję, przydzieloną nam przez gen. Kappela, urządziliśmy niezwłocznie zasadzkę, przypuszczając wojska czerwone na odległość 300 do 400 kroków. Gdy manewr ten powiódł się nam zupełnie, otworzyliśmy huraganowy ogień karabinów, kulomiotów i dział.

Bolszewicy tak byli zaskoczeni niespodziewanym naszym atakiem, że w pierwszym już momencie poszli odrazu w rozsypkę, która w następnej już chwili zamieniła się w paniczną ucieczkę.

Nieprzyjaciel, dostawszy się do lasu, po uszykowaniu się w tyraljerkę, ruszył powtórnie w naszą stronę, lecz prząony zewsząd został powtórnie rozbity.

Podczas ostatniej walki, czwarta kompanja pułku komunistów, chcąc widocznie ratować sytu-

ację, ruszyła do ataku ze swymi krótkimi karabinami meksykańskiego typu — na bagnety, lecz wysłana na ich spotkanie pierwsza nasza kompanja, złożona z ludzi rosłych i silnych, uzbrojonych w karabiny rosyjskie o długich bagnietach, wycięła komunistów do nogi, zabierając całą masę doskonałej broni i amunicji.

Po dwóch dniach pobytu na naszym odcinku, nocą — korzystając z gęsto padającego śniegu i ciemności — usiedliśmy na przygotowane podwoły, wyruszając w kierunku miasta.

Przybywszy pod jedną górę, położoną nad samem miastem, poczuliśmy się wspinać na jej szczyty. Śnieg padał w dalszym ciągu, umożliwiając nam jak najdalsze posuwanie się naprzód, bez zwrócenia na siebie uwagi ze strony czuwającego w mieście nieprzyjaciela.

O godzinie 7-mej rano, podczas panującego jeszcze półmroku, podeszliśmy pod placówki bolszewickie. Pomimo środków ostrożności, nie zdaliśmy pochwyć wedety nieprzyjaciela, które zobaczywszy nas, po oddaniu alarmujących strzałów, rzuciły się do ucieczki w stronę miasta — wrzeszcząc w niebogłosy, że „zbliżają się Polacy”.

Po godzinnem bezustannem ostrzeliwaniu miasta, szcząc popłoch nie do opisania, już przy świetle dziennem ruszyliśmy do generalnego szturm na miasto, które niestety było prawie że opuszczone przez nieprzyjaciela. W ręce nasze dostały się dwie armaty, składy amunicji, bogaty tabor, broń i prowianty, a broniących tych dobytów bolszewików bądź wycięliśmy w pień, lub też zabrali do niewoli.

Po trzydniowym pobycie w Bogulmie, zostaliśmy zastąpieni przez oddział armji narodowej, będąc sami przerzuceni na front w kierunku Ufy.

Walcząc bezustannie z bolszewikami, spełniliśmy dość niewyraźną rolę, — mianowicie niezwłocznie po odbiciu — wśród zaciętych walk — miast i wsi, oddawaliśmy je wojskom narodowym rosyjskim, będąc sami przerzuceni na nowy front, gdzie było to samo.

Tego rodzaju fakty nie należały jeszcze do nadzwyczajnych, lecz bolalo nas to, że wszelkie nasze sukcesy, opłacane trudem, znojem, krwią i życiem żołnierza polskiego, przybierały w rezultacie wręcz przeciwny naszym celom i dążeniom skutek i zamiast posuwać się naprzód, zmuszeni byliśmy bezustannie się cofać, co było wynikiem tego, że wojska narodowe na oddanych im przez nas pozycjach nie umiały się utrzymać i przed ponownemi natarciami bolszewików uciekały stale.

Żołnierze nasi, patrząc na tego rodzaju stosunki, nie bezpodstawnie sądzili, że wojna tego rodzaju wróży naszą klęskę, lub też w najlepszym wypadku może trwać do nieskończoności. Przytem ostra zima syberyjska zaskoczyła nas licho odzianych w wytarte mundury rosyjskie, stare, kompletnie zniszczone obuwie, a że prócz tego odżywianie nasze — wskutek braku — było nadzwyczaj skąpe, nic też dziwnego, że w szeregach naszych poczęła się szerzyć apatja, a nawet pewna demoralizacja.

(C. d. n.)

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legionów w Kamieńsku

VI.

4 czerwca. Zaraz po obiedzie zbiórka w pełnym rynsztunku. Ustawiono nas w kolumnie na podwórzu przed bramą.

Pozwolono karabiny ustawić w kozły. Oficerowie uwijają się przed frontem. Śpiewamy na oczekaniu piosenkę o „egzaminie i rumie”.

Wrzeszcze: „Baczność! Na ramię broń!”

Otwiera się brama i powozem wjeżdżają — pułkownik Grzesicki i major Ryłski.

Poszliśmy potem na pole ćwiczeń i rozpoczął się egzamin z musztry formalnej.

Major Ryłski był bardzo wymagający. Zmył porządnie głowę sierżantowi Kwarciańskiemu. Każdy z nas był zmieszany.

Ja miałem wykonać następujący rozkaz:

„Dacie im rozejść się; potem zarządzicie zbiórkę w czwórkach na prawo, poprowadzicie pluton, — tam — do tych drzewek i rozwinięcie błyskawicznie w tyraljery, — nieprzyjaciela na prawo, — na wzgórze”.

Komenderowałem śmiało, pewnym głosem: w rozwinięciu linii bojowej popełniłem jeden błąd, — nie podałem dyrekcji.

Zmęczeni porządnie, — prócz musztry było jeszcze „kompanja w ogniu artylerji” -- wracamy do koszar. Za chwilę wzywają nas na egzamin ustny. Egzamin ten był zabawką. Rzucono kilka pytań, bardzo łatwych — i koniec.

Pułkownik Grzesicki wyraził szkole swoje zadowolenie.

„Pójdźcie teraz — mówil — do pułku, a potem w pole“.

Major Ryłski. Wzrostu wysokiego, szczupły. Ostry i wymagający. Wiek średni. Ciemny zarost, wąsy po angielsku podstrzyżone.

Pułkownik Grzesicki. Chodzi po austriacku. Starszego wieku. Twarz czerstwa, poczciwa, polska.

Odeszli.

Pozegnaliśmy ich powstaniem. Za chwilę dowiadujemy się od Kwarciańskiego, że jesteśmy już kapralami.

5 czerwca (sobota). O godzinie 8-mej miał się zacząć egzamin formalny, ale na szczęście uwolniono nas od tego.

Kwarciański oznajmia nam, że pięciu z pomiędzy nas przeznaczono do szkoły podchorążych. Wszyscy inni wyjadą do pułku pierwszego lub czwartego.

Za chwilę spotkałem się z porucznikiem Modelskim.

„Chcę was przydzielić do szkoły podchorążych — rzekł do mnie, — ale wy chcecie iść do artylerji“.

W pierwszej chwili zgodziłem się, ale niedługo potem zacząłem żałować. Zaimponował mi Lewandowski, który przeznaczony do szkoły podchorążych, za nic w świecie nie godzi się na to — i pójdzie do pułku.

Muszę mu oddać cześć: był to bohater.

W kilka miesięcy potem poległ śmiercią bohaterską pod Jastkowem, w ziemi lubelskiej.

Poszliśmy wielką gromadą do młeczarni. Siedzimy na ganku tej młeczarni — i śpiewamy. Jesteśmy jedną żołnierską bracią.

„Hej koledzy, — dalej żywo,

Podawajcie bratnie dłonie.

Koledzy!

W wspólne łączmy się ogniuwo,

Co nie pęknie aż po zgonie,

Koledzy!

Kto więc w naszym kole,

Niechaj puchar pełen,

Pełen, pełen, chwytaj,

A o troski i o bole,

Pijąc nektar, niech się pyta

Koledzy!

Gdyś napelnił Twoją głowę

Ksiąg uczonych mądrościami

Koledzy!

Niech zasady zbyt surowe

Pozwolą Ci wypić z nami,

Koledzy!“

Byłem u komendanta Modelskiego i powiedziałem mu, że chcę iść do artylerji.

A teraz, — ponieważ szkołę już opuszczamy, postaram się podać ogólną jej charakterystykę.

Przedewszystkiem zapiszę kilkanaście nazwisk kolegów.

Więc: Śliwiński Jan.

Pochodzi z Lwowa; wzrostu niskiego, duża głowa, utyka na prawą nogę; lubimy go, — woła na nas nieraz:

„Kaleki — cichol!“

Godlewski Władysław — plutonowy z 1 plutonu.

Tarzanowski Andrzej — nauczyciel ludowy, człowiek pięknego, szlachetnego charakteru.

Goszczyński Marjan, Owczarek Bronisław, Banasiak Jan, Osiński Zygmunt, Przyłuski Marjan, Walkowski Tadeusz, Urbańczyk Kazimierz, Frydrych Edward, Burhardt Tadeusz, Kowalski Djonizy (trzech Kowalskich było w szkole), Gracys Czesław, Żongolowicz Stanisław (inżynier), Zorski Stefan, Wysocki Władysław, Grzebo Witold, Jawczyk Kazimierz, Pasiewicz Adam, Pasiewicz Franciszek, Cieślak Stefan, Orlik Władysław, Lewandowski Hieronim (takich dajcie nam więcej!).

O innych plutonach nie będę pisał.

Szeregowców liczyła szkoła 109.

Stan liczebny oddziału 126.

Oficerów 4, 1 aspirant oficerski.

Podoficerów 11.

Komendantem szkoły był Modelski.

Pisałem już jego charakterystykę, — dodam jeszcze tylko, że odznaczył się on wielką energją. Szkoła tylko dzięki jego kierownictwu wydaje piękne owoce i stoi na wysokim poziomie.

A energja ta połączona jest z prawdziwą, serdeczną jakąś uprzejmością.

Słusznie więc mówił doń Lewandowski, żegnając w naszym imieniu komendanta szkoły i oficerów: „Pozналиśmy w was prawdziwych obywateli. Zasady, które wpajaliście w nas, nie pójdą na marne. Obowiązek swój spełnimy“.

A przełożeni ścisłali nasze dłonie — i radość mieli w oczach.

Szkoła, jak wspomniałem, stała na wysokim poziomie.

Stosunki między kolegami były jak najlepsze, zwłaszcza w pierwszym plutonie i w trzecim.

Trzeci pluton składa się przeważnie z Sosnowiaków, a ci z natury rzeczy trzymają się razem.

W plutonie pierwszym w zażyłości z sobą pozostawali Lewandowski, Cieślak, Goszczyński, Owczarek, Przyłuski. Stosunki koleżeńskie były w ogólności dobre.

Z w a l k o L w ó w

I.

(*Brułjon rozkazu, znaleziony we Lwowie w biurku ukraińskiego komendanta Witowskiego.*)

Do wszystkich oficerów armji ukraińskiej we Lwowie!

Zwracam się do wszystkich oficerów razem i do każdego z osobna, jako żołnierz do żołnierzy, jako oficer ukraiński do ukraińskich oficerów, — jako człowiek do człowieka. Mówię szczerze, nie tając niczego, ponieważ mam poruszyć sprawę nadzwyczaj przykrą, — lecz muszę mówić, — ponieważ chwila obecna wymaga tego.

Towarzysze! Oficerowie ukraińscy we Lwowie i na prowincji nie okazali się w tej chwili decydującej, w tej chwili historycznej, — godnymi swego państwa. Są oni ilościowo liczni, lecz przeciętnej wartości, — okazali obojętność dla naszej sprawy, dla której padło tyle trupów. Oto zachowanie się oficerów we Lwowie, — według informacji, które otrzymuję codziennie. Mieszkają w hotelach z kobietami, oddają się pijaństwu, — wstrzymują się od wykonywania rozkazów, świecąc zgubnym przykładem swym żołnierzom. — Czyż takim winno być zachowanie oficera ukraińskiego?

Mnóstwo oficerów — strzelców nie można odszukać. Kto wysłał ich na prowincję? Bez zezwolenia opuścili powierzonych sobie żołnierzy. Gdzie są oficerowie 36-go pułku? Gdzie są armaty, które miały przybyć z pomocą wyczerpanej załozde Lwowa? Jest wiele gorszych jeszcze rzeczy, których nie mogę poruszyć, — ponieważ sam się wstydę rozgłosić je. Lecz nie zapominajcie, że żołnierze widzą wszystko co się dzieje! Czy wiecie, że były deputacje, złożone z żołnierzy różnych oddziałów, ze skargą, że ich oficerowie chcą się tylko bawić, dobrze jeść — a żołnierzom to nawet dobrego słowa nie dadzą?

Czyż mam pociągnąć do odpowiedzialności te deputacje, które nie dopełniły rygorów służbowych, zwracając się do mnie, miast do swych bezpośrednich przełożonych?

Towarzysze! Ci, którzy się przyszli otwarcie poskarżyć, ci nie są najgorszymi, — najniebezpieczniejszymi są ci, którzy nam nic nie mówią, — lecz dezorganizują armję.

Wy będziecie odpowiedzialni za ten kataklizm, za tę anarchję, która się wkrada do naszej nie zorganizowanej jeszcze armji. Wy możecie założyć naszą armję, — lub też przez wasze zachowanie, przynieść jej zgubę. Czyż zawahacie się między temi dwiema drogami do wyboru? Mówię otwarcie i kieruję te ciężkie zarzuty tylko przeciw tym, którzy pozuwają się do winy.

Słowa me nie dotyczą ani poszczególnych oficerów, ani też ogółu, — ponieważ nie mam zamiaru kogokolwiek ganić. Towarzysze! Towarzysze! To jest okrzyk rozpaczny! Wolanie człowieka, który leci w przepaść.

Nie chcę zwracać się do was jako wasz przełożony, — bo nie długo nim będę. Będę szczęśliwym, gdy będę mógł ustąpić z mego odpowiedzialnego i przykrego stanowiska, które mi narzucono, — człowiekowi o lepszych, od moich, kwalifikacjach.

Wskażcie mi tego człowieka, wskażcie mi człowieka, pod którego kierownictwem staniecie się prawdziwymi oficerami, założycielami armji ruskiej. Możliwe, że będzie on miał więcej szczęścia, — ja zaś mam tylko niezłomną wolę w tem bezbofowiu, które się rozwija: Zaprowadzić nieodzowny porządek i zniszczyć zgubne elementy.

Oczekuję od Was odpowiedzi!

Jak wiemy, rozkaz atamana był głosem wołającego na puszczy. Przypomnijmy sobie, że działo się to wszystko w pierwszych dniach walk we Lwowie, zatem w dniach „zwycięskiego“ nastroju i pełnych nadziei. Słowa komendanta naczelnego znamionują również charakter i ideologję tych, którzy poszli na rozstrzygnięcie mieczem sprawy współzycia na jednej ziemi braci, związanych od wieków krwią i wspólnymi interesami.

II.

Z osobistych wspomnień.

Dnia 1 listopada 1918 jak zwykle udałem się na dworzec, by pójść do służby do parowozowni. Zostałem na dworcu wstrzymany, a dowiedziawszy się, że dworzec zajęli Rusini, wróciłem z powrotem do domu.

Po drodze były utarczki między Rusinami a Polakami, w jednej z tych wzięłem udział i odesłałem do szkoły Sienkiewicza zdobyty karabin. Gdy dn. 2/11 1918 nie mogłem się dostać również do parowozowni, po powrocie do domu przeczekalem aż ul. Potockiego, na której mieszkalem, zajęli Polacy. Dnia 5/11 rano zgłosiłem się u śp. Trześniowskiego, majora Wojsk Polskich, jako ochotnik.

P. Trześniowski odmówił przyjęcia mnie do wojska — a powodem było użycie mnie fachowo przy kolei. Idąc jednak koło domu Techników, usłyszałem, że brak jest ludzi do noszenia rannych z pola bitwy do szpitali.

Rannych nosiłem wśród gradu kul przez pełne 24 godzin. Następnie zwolniony, zgłosiłem się

na dworcu u komendanta władz kolejowych inż. Bartła Kazimierza.

Parowozownię zastałem obumarłą, gdyż Dyr. K. P. przy ul. Zygmuntowskiej była odcięta, naczelnik parowozowni inż. Ilnicki również odcięty, a urzędnicy wcale nie przychodzili, wystraszeni walkami na dworcu. Po parowozowni kręcili się pracownicy zupełnie upadli na duchu. Pierwszą moją robotą było skupić wokoło siebie personal, dodać im ducha i hartu, uzbroić personal w karabiny dla wypędzenia band z parowozowni i odpierać w nocy częste napady. Po kilku dniach, na moją interwencję, objął komendę porucznik Nikodemowicz dla tych celów.

Gdy miałem już dość personelu maszynowego, robotników i ślusarzy, zajęliśmy się parowozami, które Wojsko Polskie potrzebowało. W kilka dni zapanował spokój i normalna praca w parowozowni, a dostawa parowozów dla wojska została uregulowana.

Personal pełnił służbę z całym poświęceniem, nie bacząc na niebezpieczeństwo, mimo że granaty eksplodowały w rejonie parowozowni, wskutek czego zginął w parowozowni od granatu maszynista śp. Galiński. Drugi maszynista, którego dziś nie jestem w stanie zapodać, został lekko ranny na parowozie. Maszynista śp. Heil Wilhelm, przyjechawszy pociągiem z Lwowa, wziął karabin na ramię i zginął w obronie Lwowa na ul. Bema.

STANISŁAWA SOZANSKA.

Z przeżyć na Pokuciu 1914 — 1919 r.

VI.

Zgłosiłam prośbę ustnie, że inż. Meller chce wrócić do Kijowa, więc prosi o pozwolenie, tem więcej, że zaaresztowany został w Stryju bez żadnego powodu. W dokumentach nie mogli się przewinienia doszukać, więc Meller dostał przepustkę, a raczej cały paszport do Kijowa, jako inżynier. Jaki był tam nieporządek, świadczy to, że Meller był oficerem i jeńcem, wzięty niedaleko Lwowa pod Glinną Nawarją. Ukraińcy przywieźli go do Stryja, rannego oddali do szpitala, tam pomogli mu tamtejsi Polacy, przebrał się i uciekł do znajomych, lecz niedługo używał swobody, bo został znów internowany w Kołomyi. Paszport Mellera zatrzymałam u siebie, a jemu dał p. Surowiec (Rogowski) przepustkę z kancel. P. O. W. Wyjechał jako mechanik przebrany, zaś narzędzia i pompę dał Karol Biskupski, który ma fabrykę narzędzi rolniczych w Kołomyi. O furę postarał się p. Wy-

Maszyniści: śp. Galiński, śp. Heil, żyjący: Roganowicz, Świtalski, Drabicki, Stanecki, Kulikowski i wielu innych — jak również palacze i pracownicy z całym poświęceniem wypełniali moje polecenia.

Dnia 5/5 1919 odznaczyl się w czasie wybuchu amunicji maszynista Stanecki, wyciągając z zagrożonego miejsca cały pociąg z amunicją. Wybuch ten, który był strasznym, nie zraził personelu, który wytrwale pozostał na swoich stanowiskach. Cały prawie personal maszynowy był wysyłany w drogę parowozami nieopancerzonymi.

Ja zaś, jako naczelnik parowozowni, musiałem być na posterunku celem pozostawiania w stałym kontakcie z wojskiem.

Ponieważ jazdy nieopancerzonymi parowozami były niebezpieczne, porozumiewszy się ze sferami wojskowymi, przystąpiono do budowy pociągu pancernego dla Lwowa. Budowę rozpoczęto w Gł. warsztatach kolejowych. Po porozumieniu się z porucznikiem Winiewskim, przeniesiono budowę do parowozowni. Ślusarze przy parowozowni pod nadzorem moim i wermistrza Trypki oddali się z całym zapalem tej pracy. Wkrótce pociąg pancerny P. P. 5. oddano do użytku wojska.

Inż. Ludwik Kuczyński.

socki, a przepustki dla woźnicy i męża wystarałam się w komendzie dla wyjeżdżających rzekomo po prowianty. W noc ciemną wyjechał mój mąż z Mellerem do pani Jaruzelskiej w Kniażem. Pani Jaruzelska wyprawiła Mellera w towarzystwie zaufanej osoby do żyda karczarza, który go tej samej nocy przewiózł do Rumunji przez Czere mosz. Mąż mój wracał do Kołomyi następnej nocy, przywoząc prowianty. Przeznaczna Polka p. Jaruzelska ofiarowała 200 litrową beczkę kapusty i 4 cetnary ziemniaków dla internowanych w Kołomyi.

Tak wlokły się dnie straszne i coraz było ciężej, bo i społeczeństwo było moralnie i materialnie wyczerpane, zdawało się, że krzyza tego nie udźwigniemy dłużej, a jednak moc Boska jest wielka. Śp. mecenas Kraśnicki Tadeusz samorzutnie zorganizował pomoc materialną dla urzędni-

ków i nauczycieli, wypłacał pensje w tajemnicy przed Ukraińcami, a temsamem społeczeństwo mogło się podzielić z Komitetem, który był w coraz krytyczniejszych stosunkach. Pomoc niesiona nie-szczęśliwym nie mogła być wydatną dla coraz większej ilości internowanych i chorych wśród nich. Jak straszną była niedola internowanych na Kosaczowie, świadczy o tem to, że niektórzy mieszczanie ukraińscy, lecz ludzie, pożyczali konie i wozy bezinteresownie, by zawieźć wybrane prowianty na Kosaczów, woźnicy zastępywał często jeden z internowanych z Bursy, niejaki Gorczyński Władysław, obecnie przy P. P. w Przemysłu. Surowiec (Bazyli Rogowski), ten był moją prawą ręką, cały dzień na usługach, to szedł na Kosaczów, pilnując prowiantów, które tam oddawano jednemu z internowanych, którego odnośny barak wybrał, to już szedł w pieszo z listem do dworu do Kornicza do pani Tatarszuchowej z prośbą o słomę, by chorym rzucić na pryzce, to znów o drzewo. Często wyjeżdżał w biednej kurteczce z kocykiem przez ramię do odległej osady mazurskiej, t. zw. Św. Józef. Św. Stanisław. Łomadżyn, a stamtąd przyjeżdżał furą pełną prowiantów, chleba, sera, kapusty, mąki, krupy, a często i zboża workami. Jako przewodnicząca Kosaczowa jemu jednemu ufałam co do wykonania moich zleceń; oddając Rogowskiemu jakąś sprawę, spokojnie odchodziłam, będąc pewną, że mimo wszelkich przeciwności, załatwi jak najlepiej. Często zdarzało się, że zachorował ktoś ciężko w nocy w Bursie, natychmiast dawali znać — wstawałam ja, mój mąż, i zaraz w sąsiedztwie budzono Surowca.

Pochowaliśmy studenta Niedzielskiego, po maturze, rodem z Niżniowa, a znajomy osobiście Halibeja, żona Halibeja, Polka z domu, bywała u pp. Niedzielskich. Gdy pewnego razu przyszedł Halibej dla skontrolowania internowanych, ze zdumieniem i przykrością spostrzegł chorego Niedzielskiego, robił mu wyrzuty, że się nie zgłosił do niego, lecz internowany młodzieniec tłumaczył, że czynił to z obawy, sądził bowiem, że p. Halibej tak samo postąpi jak inni, którzy się pastwili nad znajomymi Polakami. Komendant pożegnał się i odjechał do miasta. W godzinę później zajechaly sanie na mój dziedziniec i wysiadł znów Halibej, a za nim woźnica z tobołem — przywiózł poduszkę, koc i prześcieradło, a w koszyku ciasta, bułki i flaszka koniaku, — oddając mi owe rzeczy prosił bardzo, bym się zaopiekowała tym chłopcem, a na drugi dzień wysłał lekarza do Bursy, Dra Lewnera, by ratował chłopaka, który już leżał w gorączce tyfusu. Lekarz był zdumiony słowami komendanta, który mu powiedział: „dam tobie, doktorze, połowę mego zdrowia, tylko ulecz mi chłopaka”. Niestety wszelkie zabiegi tak Komitetu, jak i ko-

mendanta Halibeja, były nadaremne, po kilku dniach oddał Bogu ducha.

Innym znów razem przyprowadzili Ukraińcy 15 panów z Horodenki pobitych strasznie, między innymi p. Stefanowicza, zarządcy dóbr, który był tak obity, że cała twarz była krwią zalana, a inni również mocno poturlbowani, np. Ćwikliński, ojciec i dwóch synów, Kolachanowski, inspektor skarbu, Żupnik itd. Halibej tak był oburzony, widząc te ofiary, iż nie mógł się powstrzymać i rzekł: „ja ukraińiec ciłą duszą, ale na kata nie nadaję się”. Do niego służy wszystkie panie z Komitetu bez żadnej obawy, wiedząc z góry, że zrobi wszystko dla internowanych, co było w jego mocy. Natomiast do Prymaka (okružnoho komendanta), nikt nie chciał pójść — całymi godzinami trzeba było czekać w zimnych sieniach, a później wychodziły panie z nieuwzględnioną prośbą. Ten był typem bezlitosnego hajdamaki.

Z przybyciem coraz większej ilości internowanych wśród zimy, zwiększała się i śmiertelność. Lekarz Petruszewicz zarządził dezynfekcję. Pędzono obdartych, na wół nagich internowanych, 5 km. do szpitala, gdzie się owa procedura odbywała, biedaków rozbierno do naga, zostawiono po kąpielu boso na kamiennych posadzkach w bardzo lichu opalanej salce, gdzie czekali znów długi czas na swoje łachmany, które wracały zupełnie wilgotne z dezynfekcji. Internowany, nietylko zziębnięty, ale na wół już żywy, ubierał się i szedł 5 km. z powrotem wśród silnych mrozów w styczniu i lutym 1919 roku. Po powrocie dostawał gorączkę, był albo tyfus albo zapalenie płuc, po kilku dniach wywozili ukraińcy do szpitala, skąd już nigdy nie wrócił. Na stu jeden — jak wskazuje spis internowanych Leg. w szpitalach, Ci, którzy byli na prywatnych mieszkaniach, wszyscy jak jeden zostali przy życiu. Trudno słowami opisać tych nieszczęśliwych, pędzonych w zamrażniętych łachmanach. Często spotykałam taki pochód bezgranicznej niedoli ludzkiej, a kiedy po pierwszym spotkaniu udawałam się do komendy miasta, nie mogłam przemówić do komendanta, lecz rozplakałam się i prosiłam, by jako człowiek coś zarządził. Chociaż był wzruszony do głębi, odrzekł ze spuszczoną głową: „szczoż ja možu, to dr. Petruszewicz daje rozkazy i okružna komanda”. Śmiertelność zwiększała się, już nie kilkunastu, lecz kilkudziesięciu umierało dziennie.

W pierwszym dniu marca przybyła do nas misja czerwonog krzyża ze Lwowa z paniami Dulebianką, Dzieduszycką i Opieńską, ta ostatnia została przy życiu, tamte panie po powrocie z Kosaczowa, zarazone tyfusem, umarły. Ja się z temi paniami nie widziałam, byłam wtedy w Horodenke, by wyprosić trochę prowiantów. Przez nasz Ko-

mitet przeszło zwyż 5000 nazwisk internowanych do marca 1919 r. W połowie marca przyprowadził do mnie ks. Kluz niejakiego Orzechowskiego, kolejarza w ogrzewalni parowozów w Stryju, który musiał uciekać przed Ukraińcami, poszukiwali go bowiem za wysadzenie mostu w Stryju. Długo czas ukrywał się w Kałuszu, gdzie inżynier Wielowiejski wskazał mu na mój dom. Przez cztery tygodnie tułał się w Stanisławowie nocując w kościele parafjalnym, później dojechał do Ottyni, niedaleko Kolomyi, stamtąd przyjechała nauczycielka Wajsówna z Orzechowskim (rzekomo brat) i poszła z nim do ks. Klusa.

Orzechowskiego (Oreszkę) wyprawiał w drogę po kilku dniach pobytu u mnie. Surowiec dał przepustkę, a mąż mój wystarał się o furę u Władysława Zaręby. Organizacja t. zw. „Narodowa“ kolomyjska dała Oreszce wiadomości o Ukraincach do przewiezienia do Krakowa — były spisane na bibulec w języku francuskim, którą włożyłam do kołnierza kurtki między podszewką a materją. Dałam mu list od p. Boroniowej Jadwigi, która wysyłała go jako instruktora szkolnego do swej ciotki, pani Łukasiewiczowej w Banitowie za Czeremoszem, tj. na brzegu rzeki po stronie rumuńskiej.

(C. d. n.)

RAFAŁ HIRSCH.

weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Strzelanina ustała, tylko w dali na odległość strzału karabinowego można było na równinie obserwować rozpierzchłych kozaków.

Ryński skierował się do nas dwóch i pyta — a dlaczegoż was tylko dwóch i co robicie?

— Uciekających kozaków ścigaliśmy obydwa, było ich za wiele na nas dwóch, zatem zawróciliśmy.

Wkrótce wyruszyliśmy przez podwórze w przeciwną stronę. Mnie odkomendowano z przewodnikiem jako szpicę oddziału. Ale... Boże mój! Gdzie rzeczy moje, precjoza święte dane mi od rodziny, w stajni na maglu. Odważyłem się poprosić pana adjutanta, bym mógł na krótką chwilę wpaść po nie do stajni.

Na żądanie adjutanta oddział wstrzymano w pochodzie — a adjutant sam towarzyszy mi do stajni, lecz nie znaleźliśmy już na maglu ani jednego mojego kawałka, ani mantelzaku, ani bielizny, ani moich precjozów. — Rozplakałem się... Czas nagli. — Adjutant mój kochany, opowiedział to panu domu tego. Poprawiłem się tylko w ubraniu i ruszyłem na przedzie naszego oddziału.

Batalja skończona. Maszerujemy za parkiem dworu przez przestrzeń otwartego pola — gdzie ja jako szpica pochodu. Zdala za polem czernił się las. Pragnąłem przez to pole puste, pokryte białym śniegiem, jak najprędzej dostać się do „Wujaszka“ (tak nazywaliśmy lasy). Las... tam drzewa i czegoś weselej — bory — to asyllum oddziałów powstańczych z r. 1863/4. Idzie szpica w pojedynkę a za szpicą o jakich 300 kroków w oddali ciągnie się oddział.

Co krok zbliżamy się do sympatycznego „wujaszka“. Wzrok miałem, jak dalekowiedz. —

Wtem staję w miejscu, bo mi się coś miga pod lasem — podnoszę karabinek ręką w górę — adjut. Kozioradzki dogania mnie i pyta co by to było — mówię mu, że mignął mi jazda pod lasem.

Kozunie albo też dragoni zachodzą nam drogę i — pewnie, skoro nas zaatakują od lasu — cofniemy się do parku dworu.

Oddział stoi w miejscu; adjutant został na moim miejscu i rozkazał mi, stepo postępować w kierunku podejrzany.

Gdym wyruszył o jakie 300 kroków naprzód, z miejsca podejzanego dobrym klusem zbliża się ku mnie dwóch jeźdźców. W oddaleniu na strzał zawołałem: stój! — bo strzelam! Na wołanie moje zawrócili z miejsca i pomknęli, skąd wyjechali. Za chwilę pędem wyciągniętego galopa koniem wali ku mnie jeździec i woła: rotm. Jaszewski z jazdą pod lasem — ja wołam: oddział Jagmina ze dworu — zawrócił i pognał ku swoim.

Zawróciłem i ja do adjutanta i powtórzyłem mu com usłyszał. — Myśmy się zatrzymali w miejscu a jedna kompanja ćwieków, pomaszerowała w stronę lasu odszukać jazdę z rotmistrzem.

Jesteśmy już razem.

Naczelnik oddziału Ryński, pyta Jaszewskiego: dlaczego rotmistrz bez rozkazu opuścił oddział? Rotmistrz odpowiedział: bez rozkazu — tak — w budynkach nie ma co kawalerja do roboty — żołnierze w nagłym napadzie rozpierzchli się, a nim zebrałem szeregi oporono się z kozakami, a ja uważałem za rzecz konieczną strzec tyłów oddziału.

Nieodpowiednie, rotmistrz, są te zarządzenia — mówi Ryński — z postąpienia tego trzeba się będzie wyłumaczyć.

Major Ryński zawezwał nas dwóch — mnie

i starego ułana przed siebie, pochwalili nasz atak we dwójkę na kupę kozaków i dotrzymania pola przy oddziale. Obdarował nas papierosami i przepił do nas z butelki wina.

Zmęczenie nasze czasami dochodziło do rozpaczcy. Moskale za każdym zapolowaniem na nas, odpoczywają sobie z brawurą w pieleszach syci, a my jak zwierzyzna leśna — bagna i śniegi. Ze zimna i niewywczaśu ginęli niektórzy na epilepsję.

Dwory większe i dworki mniejsze drżały przed naszym najściem. Moskwa po takich gościach nakładala kontrybucje i rekwizycje koni zbytlowych i inwentarza.

Noceleg dnia tego i wieczera wypadł nam w lesie. Bardzo wczesnym rankiem zajechaliśmy na śniadanie do folwarku za dworkiem. Za godzinę ogłoszono wymarsz. W trakcie tego adjutant Kozioracki nadjechał do stajni, odszukał mnie i powiada na ucho: Hirszuniu, oddział rozdziela się na sześć częściowych oddziałków — Jagmińczyey na dwa oddziałki — Ćwieki na dwa i kawalerja na dwa oddziałki. Ja chcę ciebie zabrać ze sobą tj. ze sztabem. Zbierz się czempredzej i odjedź przed dwór. Zgłupiałem. No a

my — pytam. — Rotm. Jaszewski ma stąd wyjechać w trzydziście konie.

Posłuszny! — powiadam — panie adjutancie, oświadcze rozkaz pana adjutanta porucznikowi mojego plutonu i stawię się na rozkaz.

Lecz, co prawda, nie spieszno mi było — przeciągałem. — Zjawia się rotmistrz i ogłasza nam:

Chłopcy! Zostaliśmy sami i mam was mieć przy sobie trzydziestu, prócz tego pójdzie z nami nasz kapelan i ranny kapitan Etner.

Sztab już wymaszerował, piechotę podzieleno na cztery oddziały i również już wymaszerowali: poszli oni w różne strony odmiennymi szlakami. Moskale mają nas dosyć i ogarniają nas w sieć swoją, jak zwierzyznę, jesteśmy rozbici — bedziemy się przekradali do najbliższych granic Galicji — mówij dalej, — opatrzyc konie i siebie, jak należy, najpóźniej w kwadrans pójdziemy w dalszą wtyczną nam drogę.

Przylączarmo się do nas jeszcze dwóch naszych żandarmów narodowych. Było nas zatem wszystkich 32 ludzi, do tego dwie podwozy, na jednej podwozcie jechał kapelan i kapitan Etner, na drugiej proprieteta i zapasy w pochód.

C. d. n.

Notatki.

W Cieszynie odbył się dnia 20 października br. pogrzeb kpt. 3 p. legjonów, śp. Jana Łyska, który poległ pod Polską Górą w 1915 r. Śp. kpt. Łysek był ślązakiem i przed wojną pracował tam jako nauczyciel i działacz społeczny. Większą wzmiankę poświęciliśmy śp. kpt. Łyskowi w zeszytach Nr. 5 (7) z 1925 roku.



ś. p. por. Jan Łysek.

Księgę pamiątkową Małopolskiej Straży Obywatelskiej (267 str. 4-o) wydało Stowarzyszenie M. S. O. we Lwowie — ku uczczeniu dziesięciolecia względnie 15-lecia swego istnienia.

Pierwsze szeregi Miejskiej Straży Obywatelsk. powstały w roku 1914, w przeddzień zajęcia Lwowa przez Moskali. Milicja ta spełniła duże zadanie

i cieszyła się wielkiem znaczeniem i względami tak u ówczesnych władz, jak i w społeczeństwie. Po odbiciu Lwowa przez Austrjaków, milicja nie urzędowała, powstała natomiast w pierwszym już dniu obrony Lwowa, kiedy młodź poszła do rowów strzeleckich, a starsi chwycili za broń, by utrzymać porządek publiczny z początku w polskiej dzielnicy, a później w całym mieście i na peryferjach, by pomóc w poborze i organizacji, a gdy zaszła potrzeba, by stanąć z innymi w okopach, co też kilkakrotnie miało miejsce.

Nie wchodzimy w poszczególne pola działalności tej organizacji, stwierdzamy tylko, że M. S. O. w czasie walk o Lwów i kresy polskie wywiązała się ze swej działalności pod każdym względem bez zarzutu.

W Księdze Pamiątkowej znajdujemy poza ustępem pułk. Czesława Maczyńskiego — dłuższą rozprawę Józefa Cholodeckiego o powstaniu i działalności M. S. O. (od r. 1914), i o stosunkach we Lwowie w czasie okupacji rosyjskiej, W. Krynickiego o rozwoju tej organizacji na terenie Wsch. Małopolski, Bednarskiej i Zagórskiej o Milicji i Legji Kobiet, Marjana Webera o Zadwórzcu, tegoż rys służby M. S. O. pozbate wiele innych wspomnień i zapisków. Księga ta stanowić będzie kartę z dziejów Obrony Lwowa, kiedyto każdy, ktokolwiek był Polakiem, stanął do walki, by kresy te przylączyć do Macierzy, nie szczędząc swej krwi, która

i członkowie M. S. O. przelali również w walkach 1918 — 1920 r.

Jellenta Czery: Józef Piłsudski jako pisarz i mówca. Studium. Warszawa 1929. Str. 92 8-o. Nakł. Tow. Wiedzy Wojsk. — Odczyty Jellenty w Polsce i zagranicą na temat powyżej podany cieszyły się wielkimi sukcesami i pozostawiły po sobie duże wrażenie o *Człowieku*, który Polsce dał wszystko, co tylko można dać dla wielkości i wartości swego państwa. Studium, ogłoszone obecnie drukiem, utrwała te wszystkie emocje, które porывały słuchaczy odczytów Jellenty i które piękno duszy i myśli Wodza wyrażały w całym majestacie.

Do wielkiego zbioru pism o Komendancie, którego imię zaświeciło na horyzoncie naszym lat temu piętnaście — przybyło studjum piękne i należycie rozwiązane w swem założeniu.

„*Gawędy Legionów między sobą*“ pod red. Leona *Miguty*, Warszawa 1929. str. 82+5 8-o. tom I.

Pod powyższym tytułem wydany został mały zbiór gawęd legionowych, z wstępem L. Miguty (Gnoma) i 15 innych opowiadań, wśród tych kilka już drukowanych w innych pismach i książkach, jak dr. Góreckiego z więzienia w Huszt i „wisielec“ pierwszej brgady, wspomnienie o A. Nowaczewskim.

Natomiast opowiadania ministra I. Bochnera, Stan. Hirszla, Ostafina i Sylwestra Strzelczyka-Wysockiego — są nieznanie i w historii legiunskiej zająć muszą odpowiednie miejsce. Dużo humoru znaleźć można we wszystkich gawędach i skoro następne tomy będą o treści, zawierającej więcej humoru niż literackiej kompozycji — cel wydawnictwa będzie osiągnięty. Cieszymy się, że legiuny „piszą swoją historję“ i, że jako pierwsi, bo od 1924 r., znaleźliśmy tylu już współpracujących na tem polu. Życzymy więc powodzenia.

15 lat. Z okazji uroczystości legionowych, które odbyły się 20 bm. w Cieszynie (Zjazd legionistów w 15-lecie wymarszu bataljonu śląskiego do Legjońu i na pole walki — i sprowadzenie zwłok poety śląska Cieszyńskiego, kapitana Jana Łyska) — wyszła nakładem Związku Legionistów w Katowicach, a pod redakcją A. Rzymana i W. Żelechowskiego ciekawa i piękna swą treścią oraz formą zewnętrzną broszura pod tytułem „15 lat“.

Treść broszury otwiera przepiękny wiersz poety Włodzimierza Żelechowskiego, a między nazwiskami autorów artykułów widzimy Ks. Biskupa Bandurskiego, Ks. Stonawskiego, gen. Paślowskiego, kapitana Zycha, prezesa Janika i innych.

Broszurę dopełniają liczne fotografie i kilka

utworów poetyckich, poświęconych Legionistom.

Okładkę tytułową rysował zaszczytnie znany artysta malarz Stefan Matejko z Krakowa.

Czujemy się w obowiązku podać naszym Czytelnikom, kłósząc adresy miejsc sprzedaży: Ksidgarnia „Kresy“ Cieszyn; Oddział Zw. Leg. Dzielnic, ul. 11 listopada; Związ. Leg. Pol. Katowice ul. Kościuszki 28. parter; Związek Leg. Pol. w Krakowie, ul. św. Jana 14.

Dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na budowę pomnika Jana Łyska w Cieszynie.

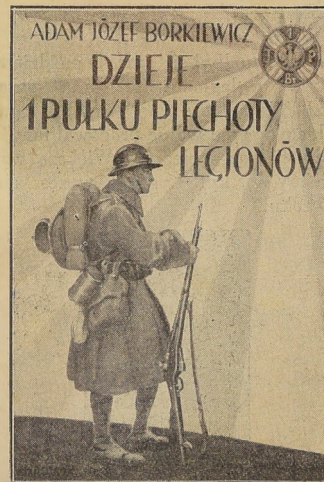
OD REDAKCJI I ADMINISTRACJI.

Pismo nasze jest niesubwencyjonowane, opiera się wyłącznie na prenumeracie. Nie reklamujemy się, bo nie stać nas na to. Możemy tylko wysyłać zeszyty okazowe, prosimy więc o adresy osób, które interesowałyby się pismem naszym.

Również prosimy wyrównać zaległości przedpłaty za minione już kwartały b. r.

Jak już wspominaliśmy, jest w opracowaniu większa rzecz o chlubnem życiu i śmierci zaszczytnej por. I. Błdy dr. T. Żulińskiego-Barskiego, poległego w 1915 r. pod Kamieniechą.

Prosimy o ewent. nadesłanie nam jakichkolwiek wiadomości wzgl. fotografii z życia śp. Żulińskiego dla uzupełnienia naszej pracy.



NOWOŚĆ.

Niedawno wyszła z druku praca mjr. ADAMA JÓZEFA BORKIEWICZA p. t.:

„DZIEJE I-GO PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW“

Cena 25 zł.